Rok 1902. LWÓW, 17 SIERPNIA. Nr. 7.

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO" POŚWIĘCONY NAUCE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

MAKS LANDAU.

CHWILE.

I.

BŁYSK.

Zrodzony z tęczy promyk opalowy
musnął twych włosów hebanowy zwój,
błękitnych muszek niezliczony rój
krąg czarujący powiódł wkoło głowy.
Wsparta roskosznie na mojem ramieniu
kroczyłaś w jasnem, cichem zamyśleniu,
gdym uczył ciebie ognistemi słowy
najczystszych myśli moich piłaś zdrój,
poważnie wzniosłaś ku mnie piękne oczy
dziewiczy zachwyt błysnął w nich uroczy,
gdy z tęczy zrodzony promyk opalowy
musnął Twych włosów hebanowy zwój.

II.

ZACHWYT.

Przystroję Ciebie w przecudne kształty
rozkwitłych słońcem purpurowych róż —
z mgły srebrnej tkane zarzucę Ci szaty,
otulę w złotą ciszę rannych zórz —
echem ginącej pieśni Cię oplotę,
co śpiewa wieczną miłości tęsknotę —
dorzucę woni, co ślą senne kwiaty
okraszę uśmiechem zbawionych dusz —
zasypię szumem odwiecznych borów,
ożywię gwarem nocnych rozhoworów —
owionę cichem szczęściem polskiej chaty
i głębią myślącą zadumanych mórz.

III.

SZAŁ.

Najserdeczniejsze przypomnę katusze
i łez perłami przetkam białe wrzosy —
garścią miesięcznych blasków je przyprószę,
od fiołków drzemiących zapożyczę rosy,
niech w brylantami ozdobnej koronie
jeszcze raz ujrzę Twoje białe skronie,
raz jeszcze Twą krasą niech serce poruszę,
raz pocałunkiem musnę Twoje włosy,
królewskim przepychem uraduję oko —
potem się w łono Twe wpiję głęboko,
wydrę Ci z serca uśpioną Twą duszę
i z duszą Twoją ulecę w niebiosy.

IV.

CISZA.

Zrodzona z gamy głosów przeraźliwa
cisza wionęła na posępny bór —
rozdzwonił się rzewny myśli mojej chór —
najcichszy szelest już mu nie przerywa.
W promiennem myśli cichej zamyśleniu
oczęta topisz w mgieł wieczornych cieniu —
na bladych licach uśmiech dogorywa,
jak światła wieczorne gasnących chmur.
Umilkły gwarne szepty starej sosny
nie dzwoni konwalia hejnałów dla wiosny:
wionęła na stary posępny bór
zrodzona z jęków cisza przeraźliwa.

ANATOL FRANCE.

NA POLACH ELIZEJSKICH.

Jakaś siła niewidzialna, przeniosła mię nagle w głuchą, złowrogą ciemność!

Na jej ponurem tle, rysowały się mglisto, blade postacie o dziwnych kształtach.

Na ten widok, uczułem trwogę.

Gdy zwolna, wzrok mój oswoił się z ciemnością, dostrzegłem nad brzegiem rzeki, toczącej ciężkie fale, odrażający cień człowieka, w azyatyckim czepcu i z wiosłem na ramieniu.

Poznałem w nim przemyślnego Ulisesa.

Długa, spłowiała broda, zwieszała mu się na zapadłych policzkach.

Wzdychał i cichym zamarłym głosem, mówił: „Głód mi dokucza, nie zdaję sobie sprawy z niczego, a dusza moja, jako ciężki opar błądzi w ciemnościach. Kto mię napoi krwią czarną, aby mi przypomnieć moje okręty malowane purpurą, moją matkę i małżonkę nienaganną!"

Posłyszawszy te słowa, domyśliłem się, że jestem na dnie podziemi, a pamiętając opisy i objaśnienia, znane mi z poetów, starałem się kierować jak umiałem i zwróciłem się do pobliskiej łąki, jaśniejącej łagodnem, słabem światłem, wśród ciemności.

Po półgodzinnej wędrówce, spotkałem cienie ludzi zgromadzone razem na łące i zatopione w rozmowie.

Były tam, zebrane razem, duchy wszelkich czasów, epok i krajów, rozpoznawałem tu ruchy wielkich filozofów, obok dzikich lub prostaczków.

Ukryty za krzakiem mirtu, słuchałem ciekawie ich rozmowy.

Więc najpierw Pyrrhon, oparty na rydlu jak dobry ogrodnik, zapytał cichym, słodkim głosem:

Co to jest dusza?

Cienie otaczające go kołem, odpowiadały prawie wszystkie razem.

Boski Platon, odrzekł ze zwykłą sobie subtelnością.

„Dusza jest trojaka. Posiadamy jedną duszę ciężką w żołądku, czującą w piersiach i myślącą w głowie.

Dusza jest nieśmiertelną.

Kobiety, posiadają tylko dwie dusze — brak im myślącej“.

Jeden z Ojców Soboru Alakońskiego, w te słowa odpowiedział Platonowi.

Platonie, mówisz jak poganin.

Sobór Alakoński w roku 585, większością głosów przyznał i kobiecie duszę nieśmiertelną. Zresztą, kobieta jest także człowiekiem, ponieważ Jezus Chrystus, urodzony z dziewicy, nazwany jest w Ewangelii, synem Człowieczym.

Arystoteles wzruszył ramionami i odparł swemu mistrzowi Platonowi, z pełną szacunku stanowczością.

Według mego przekonania, o boski Platonie, ludzie również jak zwierzęta, posiadają pięć dusz: 1) spożywającą, 2) czującą, 3) poruszającą, 4) pożądającą i 5) myślącą. Dusza jest formą ciała: zużywając się sama, niszczy jednocześnie ciało.

Tu powstał chaos najrozmaitszych zdań i opinii.

ORIGENES.

Dusza jest materyalna i ma kształt!

Św. AUGUSTYN.

Dusza jest bezcielesna i nieśmiertelna.

HEGEL.

Dusza jest fenomenem przypadłościowym.

SCHOPENHAUER.

Dusza jest objawieniem czasowem woli.

POLINEZYJCZYK.

Dusza jest tchnieniem i gdy czułem, że umieram, ścisnąłem sobie nos, aby nie pozwolić duszy wyjść z ciała; ale nie ścisnąłem dość mocno i dla tego umarłem.

MIESZKANKA FLORYDY.

Ja umarłam, wydawszy na świat dziecię, położono mi na ustach jego rękę, aby przytrzymało duszę matki, ale już było za późno, duch mój przesunął się między paluszkami niewiniątka.

KARTEZYUSZ.

Wytoczyłem dokładnie, że dusza jest duchową. Co się zaś z nią dzieje potem, to niech nas o tem objaśni Pan Digby, który się o tem szeroko rozpisywał.

LAMETTRIE.

A gdzież jest Pan Digby? Niechże go nam tu sprowadza

MINOS.

Panowie każą go szukać troskliwie w całem Podziemiu!

ALBERT WIELKI.

Jest trzydzieści twierdzeń przeciw, a trzydzieści sześć za nieśmiertelnością duszy — przeto większość sześciu głosów, na korzyść odpowiedzi twierdzącej.

CZERWONOSKÓRY.

Duch wodza nieustraszonego, ani jego fajka, ani tomahawi, nie umierają.

RABIN MAJMONIDES.

Napisano: Niesprawiedliwy będzie potępiony, zniszczony i proch z niego nie zostanie.

Św. AUGUSTYN.

Mylisz się Rabi Majmonidesie. Napisano: Potępieni, pójdą w ogień wieczny!

ORIGENES.

Tak, Majmonides się myli. Potępiony nie będzie całkiem zniszczony, lecz zmniejszony, stanie się małym i jak pył niedostrzeżonym. Tak trzeba pojmować potępionych. A dusze święte, zatoną w Bogu.

JAN SCOTT.

Dusze rozpłyną się w Bogu, jak dźwięk topiący się w przestrzeni.

BOSSUET.

Twierdzenie Origenesa i Jana Scotta, sączą truciznę błędu, albowiem, to co księgi święte mówią o mękach piekła, należy rozumieć we właściwem literackiem znaczeniu słów.

Potępieni będą ustawicznie żyli i umierali, nieśmiertelni dla swoich mąk. Wić będą się w straszliwych cierpieniach, na łożach ognistych, zbyt mocni aby umrzeć, zbyt słabi aby znieść męczarnie.

Św. AUGUSTYN.

Tak; te powody powinny być brane we właściwem znaczeniu słowa, nie jako przenośnia. Tak jest. Ciało potępionych cierpieć będzie po wieki wieków.

Niemowlęta zmarłe w łonie grzesznych matek, także podlegną mękom.

Tego żąda sprawiedliwość Boska.

Jeżeli ktoś powątpiewa, że ciało wiecznym ogniem trawione może być mimo tego nie zniszczonem, to tylko wskutek nieświadomości. Wiadomo przecież, że są ciała, które ogień doskonale przechowuje, jak na przykład bażanty.

Przekonałem się o tem kiedyś w Ilipponie. Mój kucharz, sławnie przyrządzający te wykwintne ptaki, podał mi raz tylko połowę. Gdy po dwóch tygodniach zażądałem drugiej połowy, była znakomita w smaku, a jak się dowiedziałem, przechowywał ją w ogniu.

W ten sam sposób, ciała potępionych gorzeć będą, wiecznie nienaruszone i całe.

SUMANGALA.

Wszystko co tu słyszę, jest ciemne, przesadami zachodzi.

Prawda jedyna, to że dusze przechodzą w rozmaite ciała, zanim zdobędą najwyższą szczęśliwość Nirwany, kładącej kres wszystkim bólom istnienia; Gasstama, przeszedł wszystkie szczeble pięciuset pięćdziesięciu wcieleń, zanim stał się Badelą — był kolejno królem, niewolnikiem, małpą, słoniem, krukiem, żabą, jaworem i t. d.

EKKLEZJASTA.

Ludzie, umierają tak samo jak zwierzęta i los ich jest jednakowy — zwierzęta, umierają w tenże sam sposób, jak ludzie. Jedni i drugie, oddychają w ten sam sposób, a człowiek nie ma nic więcej, jak zwierzę.

TACYT.

Taki sposób myślenia da się pojąć u Żyda, przywykłego do niewoli. — Co do mnie, to powiem, jak Rzymianin. Duch wielkiego obywatela, unicestwić się nie może — oto w co wolno i należy wierzyć. Ale obrażałby sprawiedliwość bogów, ktoby z równą łatwością chciał wierzyć, że obdarzą nieśmiertelnością dusze niewolników i wyzwoleńców.

CYCERO.

Niestety, synu mój, wszystko, co wiemy o piekle, o życiu przyszłem, jest garścią pomyłek i kłamstw!

Sam siebie zapytuję czasem, czy nie jestem nieśmiertelnym, jedynie przez pamięć Konsulatu, która przetrwała wieki?

SOKRATES.

Co do mnie wierzę w nieśmiertelność duszy. — Dla tak ponętnej nadziei, warto coś ryzykować.

WIKTOR COUSIN.

Kochany Sokratesie, wiara w nieśmiertelność duszy, której istnienia wymownie dowiodłem, jest przedewszystkiem koniecznością moralną. Cnota, jest to piękny temat, dla rozpraw retorycznych, ale jeśli dusza nie jest nieśmiertelną, cnota nigdy nagrodzoną nie będzie.

A chyba Bóg nie byłby Bogiem, gdyby go nie obchodziły przedmioty wykładów francuskich.

SENEKA.

Czyż to są zdania mędrca?

Rozważ filozofie gallijski, że nagroda za dobre uczynki jest w samem ich pełnieniu i że nie ma nagrody wyższej, nad roskosz samej cnoty.

PLATON.

A jednak są kary i nagrody wieczne. Po śmierci dusza grzesznika przechodzi w ciało zwierzęcia niższego rzędu, w konia, hippopotama, lub kobietę.

Zaś dusza cnotliwego mędrca zasiada w jednym rzędzie z bóstwem.

PAPINIAN.

Platon utrzymuje, że w przyszłem życiu sprawiedliwość bogów poprawia wymiar sprawiedliwości ludzkiej. Przeciwnie — należy, aby człowiek dotknięty został na ziemi karą chociażby nie zasłużoną, lecz nałożoną przez władze wyższe, mogące się mylić, ale należycie ustanowione i wyrokujące, pokutował, dalej w piekle!

Byłoby to targnięciem się na sprawiedliwość i jej osłabianiem rozgłaszanie, że jej wyroki mogą uledz zmianie przez mądrość Przedwieczną.

ESKIMOS.

Bóg jest dobrym dla bogatych, a złym dla biednych!

Zapewne lubi bogatych, a nie lubi biednych.

Ponieważ lubi bogatych, umieści ich w raju, a że nie lubi biedaków, wrzuci ich do piekła.

BUDDYSTA CHIŃSKI.

Widzicie, że każdy człowiek ma dwie dusze — jedną dobrą i ta się połączy ze swoim Bogiem, a druga zła, pójdzie na męki piekielne.

STARZEC Z TARENTU.

O mędrcy, odpowiedzcie starcowi, przyjacielowi ogrodów. — Czy zwierzęta mają duszę?

KARTEZYUSZ.

Nie mają! To są machiny.

ARYSTOTELES.

Są zwierzętami, ale mają duszę taką jak my wszyscy. Dusza ta jest w ciągłym związku z ich organami i ożywia je.

EPIKUR.

O Arystotelesie! na szczęście ta ich dusza jest taką jak nasza ludzka, podległa śmierci i zniszczeniu.

Drogie cienie uwięzione w tych ogrodach, czekajcie cierpliwie, dopóki razem z gasnącą okrutną chęcią życia nie pozbędziecie się samego życia i jego nędzy. — A do tej chwili odpoczywajcie w niezamąconym spokoju.

PYRRHON.

A cóżto jest życie?

CLAUDE BERNARD.

Życie to śmierć.

— A czemże jest śmierć? — znpytał znowu Pyrrhon.

Nikt mu nie odpowiedział i cały tłum cieni oddalił się nagle cicho, jak obłok wiatrem przegnany!

I gdy myślałem, że sam jeden tylko zostałem na łące, poznałem Alenippa, po minie cynicznej wesołej.

— Czem się to dzieje Alenippie — zapytałem — że ci umarli mówią o śmierci, jakby jej nie znali i dlaczego tacy niepewni przeznaczeń ludzkich, jakby jeszcze przebywali na ziemi?

— To zapewne dlatego — odpowiedział Alenippus — że w jakiś sposób są jeszcze śmiertelnymi ludźmi. Gdy posiędą nieśmiertelność, ani mówić, ani myśleć ani czuć już nie będą.

Staną się podobni bogom!

STANISŁAW MALCZART.

CYPRYANA NORWIDA

POGLĄDY NA SZTUKĘ NARODOWĄ.

II) Przechodząc przez cały szereg etymologicznych wywodów w językach różnych narodów, które miały lub mają sztukę, bada w końcu określnik piękna w języku polskim w celu przekonania się jakim on jest i czy daje nam wogóle prawo do uplastyczniania piękna. Wywód jest taki: „U Polaków określnik „piękno“ dwa nosi brzmienia w sobie i rozwija się w trzecie: złożony on jest z wyrazów „pieśń“ i „jęk“

a zamienia się w trzeci wyraz jakoby „pojękność“ i jakoby nad boleścią tryumf znaczący“. Że taki a nie inny jest duch i znaczenie tego wyrazu u nas, dowodzą nasi pisarze dawniejsi, najlepiej jednak i najwyraźniej Słowacki, ten poeta, który „najwyłączniej ze wszystkich poetów polskich jest artystą“. W „Królu Duchu“ mówi on o tajemnicach liry: (Zoryan)

szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki
Ani klątw rzucał — ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiej lireczki,
Głaskał ją tylko wyjaśniwszy lice.

Dalej w „Anhelim“ o piękności kobiety: „Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei i wypiękniało na niej ciało“. Wogóle poezya Słowackiego roi się od podobnych przykładów, w czem dowód, że on najlepiej czuł ducha języka, i że ostatecznie wyraz „piękno“ takie ma pochodzenie i tak go rozumieć należy. W wyrazie „ładny“ jest „podwalina architektonicznej piękności“ — ładny bowiem, to ład, porządek, harmonia. „I „ładny“ jest wyrazem tak ściśle formalnym jak „piękny“ wewnętrznym i duchowym, tamten bowiem zastosowanie tylko harmonijne do porządku jakiegoś istniejącego okazuje, gdy ten przypuszcza dramę, boleść, jęk, a dokonania i po-konania onych, nowy zdobywając ład, spodziewa się“. Niższym jest wyraz „śliczny“, oznacza bowiem już tylko „piękność porównawczą, krytyczną, wyborową — rzecz obliczem z licznych pierwszą i wyborną“. Wreszcie „brzydki“ — to bez-życia, bez-użytku, a „szkaradny“ to za-karę-dany czyli potworny.

Taką była obrona sztuki. Czy dowiodła i pokazała sztukę polską? Nie; tę miał pokazać dopiero czas. Dowiodła jednak, pokazała, uzasadniła i naprawdę „objawiła“ nietylko jej potrzebę, ale i jej podwaliny, jej źródło, jej pierwiastek w życiu powszechnem i życiu naszem. Może trochę za zwięźle, za krótko, nie tak płynnie, wymownie, potoczysto — i przyznajmy już raz — nie tak powierzchownie jak tamta; niemniej jednak dowiodła jej, że „i kryształowa szyba kiedy się skośnie na nią patrzy, zasłania oczom przedmioty“ — i dowiodła nakoniec wielkiego rozumu, niezwykłej głębi, powagi i subtelności w myśleniu. Zakres miejsca nie pozwala przytoczyć kilku z tych niezrównanych dowodów, jakimi ten myśliciel popiera swoje rozumowania o sztuce przejawiającej się czy to w naturze, czy w życiu. Przy sposobności badania artyzmu w postępie moralnym, wykazuje tak delikatne odcienia, dotyka tak subtelnych różnic w nerwach i „wnętrznych poruszeniach“, że robi istną wiwisekcyę człowieka. Mówi ten głęboki psycholog: „Ileżby to smutków do niewypowiedzenia smutnych, boleści ileż do niewypowiedzenia bolesnych — ileż to i trudności do niewypowiedzenia trudnych dlatego jedynie spotyka się, iż przez niewypowiadanie tychże słuszne, aż do onego to niewypowiedzianego wzrosły stopnia! Hamlet w domu swych przodków, czemu to aż z aktorami przestawanie za jedyną miał sobie ulgę?“ Pytanie to, tę kwestyę sztuki w życiu, rozbiera na przykładzie pomysłu wprowadzenia aktorów na dwór księcia i na rozmowie Hamleta z matką (akt I. scena 2-ga) w sposób tak dziwnie mądry i głęboki, że Szekspir wydaje się jeszcze większym, niż jest, a Norwid ostrowidzem niezwykłym. Pod dotknięciem jego świdrującej myśli wszelka rzecz roztwiera swoją zmysłową skorupę i pokazuje mu ziarno i miazgę wiekuistej istoty swojej.

Powyższa rozprawa o sztuce jest tylko krótkim jej rozbiorem, wykazaniem jej potrzeby, odparciem zarzutów i świetną jej obroną; nie daje jednak całego, skończonego obrazu pojęć i nie rzuca jeszcze światła na ich całokształt w kierunku artystyczno-narodowym. Te szerzył Norwid gdzie mógł: tak w porozrzucanych pismach swoich, jak i apostolstwem ustnem. W krzewieniu ich, w głoszeniu prawd, które niestety padały jak groch o ścianę, nie ustał ani na chwilkę, przez nikogo pobić się nie dał, przed nikim nie ustąpił, nigdy nie dał za wygranę. Miał on tak arystokratyczne (w znaczeniu ideowem), tak wysokie wyobrażenie o sztuce, że go po prostu nie rozumiano. Wołał on do niej:

O sztuko! wiecznej tęczo Jeruzalem!
Tyś jest przymierza łukiem po potopach
Historyi; Tobie gdy ofiary palem,
Wraz się jagnięta pasą na okopach...

Ty wtedy skrzydła roztaczasz złocone
W świątyni pańskiej oknach szyb kolorem,
Jakby litanie cicho skrysztalone,
Co na aniołów czekają wieczorem,

. . . . w czas burzy i gromu
Tyś bohaterstwa bezwiednym rumieńcem,
Z orłami hufce prowadzisz do domu
I nad grobowcem — biała — stajesz z wieńcem.

Czy stwarzał sam wielkie dzieła pendzla i dłuta? i czy był w tych dziełach narodowym? Krytyka fachowa mówi, że ani jedno, ani drugie. Nic to nas zresztą nie obchodzi, albowiem pytaniem jest co i jak o sztuce narodowej pisał. Że jednak miał prawo do współudziału w pracy artystycznej, i że je czuł i wykonywał, to potwierdza sam słowami:

Uczeń podrzędny — i ja w tej trudności
Udział mój wziąłem;
I nieraz w marmur tnę rzeczywistości
Z Michał — Aniołem.

Ale prócz tego miał i przyjaciół i byli tacy, co go rozumieli. Naturalnie nie nasi krytycy, którzy go szarpali, wołając: poeto „fiat lux!“, natomiast rozumiał go Owerbek, cenił wysoko Delaroche, kochał Mickiewicz, Słowacki; krytyka paryska widziała w nim ucznia wielkiej szkoły Rembrandta i Dürera i podziwiała w jego karykaturze mistrzostwo, „jakiegoby się nie powstydził sam Leonardo da Vinci“ — jak pisał w swoim czasie *L'artiste*, którem to pismem poeta i malarz zasłaniać się musiał przed chłodem i napaścią rodaków.

Co do „narodowości“ — to w pendzlu może jej nie miał, jeżeli ponad nią widział „świątynię Pańską z szyb kolorem“, jeżeli ją namaścił kultem religijnym, jeżeli sam był „Nazarejczykiem“, choćby i odmiennym wśród innych. Szerzył ją jednak i pojmował na swój sposób i postawił jej tęgi pomnik w poemacie, któremu na imię: Promethidion. Poemat to osławiony — ale i sławny. Osławiony przez swoją mistyczną a rzekomo niedorzeczną „poezyę czynu“, jaką Norwid głosił, wyśmiewany przez Klaczkę, wyszydzany przez Siemieńskiego i Goszczyńskiego; sławny jednak przez swoją treść i ideę, szlachetny zamiar i potryo-

tyczny cel, a nawet przez własne zalety poetyczne, przez wykonanie, przez siłę wyrażoną talentem niemałym.

Poemat, powiedziałbym, niezwykłej wagi i wyjątkowego znaczenia w dziejach naszej artystycznej kultury — a to z podwójnych względów: najpierw jako poetyczny wyraz pewnej części przekonań i wyobrażeń, haseł i prądów, jakie nurtowały w łonie naszej emigracyi; jako jeden odłam i gałęź wielkiego drzewa poezyi, która może z tą chwilą, gdy ją zarzucił Mickiewicz, przestała już istnieć sama dla siebie jako cel, stając się raczej środkiem do wypowiadania celów wyższych, jednym i jedynie możliwym środkiem do wieszczego wyrażania pragnień i poglądów w kierunku społeczno-religijnych reform, przestała być mniej sobą, a była raczej szeregiem wielkich poetycznych czynów, a więc — i ich poezyą; powtóre, jako wyraz tych przekonań, pragnień i dążeń, które obok tamtych płynąc równoległem ale osobnem korytem prądów artystycznych, dążyły jak w Europie całej, do odrodzenia sztuki — tak u nas do jej wskrzeszenia na gruncie czysto narodowym, do jej uobywatelnienia i późniejszego rozkwitu.

I w tym drugim kierunku jest ten poemat istotnie „poezyą czynu“, czynu artystyczno-narodowego, a jako taki jest znamiennym i typowym i w naszej poezyi jedynym. W swoim czasie przez chłodną krytykę naszą — która wstręt jakiś czuła do Prometeuszów — wyszydzony i oplwany, a potem zapomniany, Promethidion byłby może w epoce Michałów-Aniołów i Rafaelów — świętą pieśnią artystów; — u nas nią nie był. Dziś jednak może i winien być dla naszych apostołów sztuki narodowej, drogiem i pięknem wspomnieniem ich prometejskich bojów, może być ich narodową ewangelią. Taką też jest. Wszystko bowiem, do czego dążyć może najszlachetniejszy artysta, czego pragnie i o czem marzy artysta-patryota, w imię czego walczy (choć bez miecza) bohater prawdy i do czego wreszcie się modli kapłan u ołtarza sztuki, wszystko jest wyrażone w tym poemacie mądrze, pięknie i wzniośle. U poety, autora, jest poemat ten alfą i omegą jego przekonań i utęsknień, to jego Credo i Dekalog artystycznych poglądów i patryotycznego działania.

(C. d. n.)

MAR-HOR.

CZAS.

(FRAGMENT)

Potężny, wszechmocny Czas szedł szybkim krokiem, pędząc przed sobą Postęp i krocząc wielką, silną stopą po powierzchni ziemi.

Przechodząc, tu równał z ziemią olbrzymie góry, wystające nad poziomem, tam zwracał koryta rzek i osuszał wody rozległe, tam znów karczował jednym zamachem dziewiczych lasów obszary, a jeszcze dalej przemieniał w żyzne pola dzikie, nieuprawne grunta.

I szedł, wciąż szedł, nigdy nie strudzony, nigdy spoczynku, ani wytchnienia nie pragnący, zawsze żądny zmiany, ruchu i postępu.

Szedł, zmieniając wciąż postać i lica potulnej ziemi, to ją zdobiąc i stroją, to znów niszcząc jej wdzięki, ogałacając ją z dziewiczych zasłon, paląc ogniem, zalewając wodą, gruzami zasypując.

A przed nim pędził gnany przez niego Postęp.

Naprzód wyciągniętemi rękoma macał grunt, bo był ślepy od urodzenia i chwytając pierwsze lepsze materyały, co mu pod ręce podpadły — budował wciąż, budował i wznosił wspaniałe, ogromne gmachy, często bez proporcyi, ani harmonii, czasem nawet bez myśli i sensu, ale widne i wielkie — wiecznie w pośpiechu, nie mogąc ani chwili zatrzymać się na miejscu, nie miał czasu ni chęci na stawianie fundamentów i w chwilę później, gdy Postęp biegł już naprzód, by nowe dzieła tworzyć, gmachy pozostałe za nim, rozpadały się w gruzy, zasypując setki ludzi, oglądających je, lub pracujących przy nich.

Ale postęp nie mógł zważać na to, nie patrzył za siebie i wznosił nowe wieże, mury, świątynie, w których się ludziom modlić kazał.

I gnany przez Czas nie ustawał również na chwilę.

Lecz czasem, macając w powietrzu, nie znajdował żadnego materyału, z któregoby coś ulepić mógł, a że konieczność nie pozwalała mu ustać w pracy, więc zwracał się nagle wstecz i pełnemi rękoma, nabrawszy gruzów z przeszłości, z niepomierną szybkością zaczynał cegły na cegłach stawiać.

Adepci mistrza, otoczywszy go, wpatrywali się w tę pracę, nieraz na chwilę wątpili o jego czarownej mocy i szemrać poczynali: to już było, to już było.

Aż oto strzelał w górę niebotyczny gmach, którego szczyt tkwił gdzieś w chmurach.

Takiego nie widziano jeszcze nigdy.

I sława mistrza rozbrzmiewała znów po świecie całym.

Istnieli jednak wrogowie tych dwóch, zbratanych z sobą olbrzymów: Czasu i Postępu — był ich zastęp cały równie silny może, jak adepci i zwolennicy.

Całemi masami stawali na drodze, którą przebiegali dwaj olbrzymi i zwartą masą rzucali się z nimi do walki.

Chcieli wstrzymać ten tryumfujący pochód, po przez świat idący, chcieli go zmusić do cofnięcia, do zatrzymania się na chwilę, do powrotu w przeszłość.

Zajadle zwłaszcza rzucali się na Postęp, szarpiąc go zębami, rękami, kopiąc nogami, starając się skórę zeń zedrzeć, głowę mu zdjąć, zwalić go w przepaść. Postęp walczył z uśmiechem wzgardy i politowania — i zawsze zwyciężał.

A Czas niewstrzymany tratował zrozpaczonych szermierzy, deptał po ich głowach i biegł, biegł przed siebie.

Za nimi odwrócona i nieruchoma stała Przeszłość, ogarniając rozpostartemi skrzydłami minione lata i wieki, w gruzy rozpadłe gmachy i świątynie, mogił miliony smutnych i samotnych. A nad nią, niby żywy ptak, kołysało się uskrzydlone Wspomnienie, śpiewając brzmiącą echem po całym świecie — pieśń.

Ale Czas miał jedną nieprzyjaciółkę — ludzką Duszę. Nieprzyjaciółkę, której pokonać nie mógł.

Bo wszystko to, co On gładził ze świata, co tratował, niszczył, wykorzeniał i odrzucał — to wszystko garnęła Ona do siebie, to wszystko przechowywała.

I każdej rozpadłej w ruiny świątyni, każdej pieśni umarłej, a pięknej, każdemu zgaszonemu ogniowi, wznosiła mogiłę i składała na niej brylantowy wieniec z łez.

A każdy liść opadły jesienią i każdy kwiat zwarzony mrozem i źdźbło odrzucone, gromadziła z miłością, mieszcząc wszystko w swoim szerokim, bezbrzeżnym świecie.

Gniewało to czas i wydał jej wojnę.

Gniewał ten jej sojusz z przeszłością, to, że ogarniała ją ona całą podczas, gdy on teraźniejszością żył tylko.

Ale nie dość na tem. Dusza ta zuchwała, ogarniająca wszystko Dusza, prześcigała jego, potężnego olbrzyma, wyrywała się naprzód, marzeniem i myślą sięgając w przyszłość, obejmując ją jednem daleko biegnącem tchnieniem, zagarniając na własność przeczuciem i jasnowidzeniem.

Czy On, Czas może na to zezwolić?

On, który władnie wszystkiem: światem i ziemią, i ludzi losami, i życiem, i śmiercią. — On, co znaczy im chwile istnienia, wymierza szczęście, smutki, niepokoje, On, który panuje nad nimi, który ich naprzód i na pasku prowadzi, nie szczędząc brutalnych gwałtów, gdy iść nie chcą. On, który woła potężnym głosem: „Prędzej, prędzej!“ On, kierownik postępu, pan życia i śmierci.

I nagle wezbrała w nim prawdziwa nienawiść.

Skąd ta siła w Duszy i ta moc, że ogarnąć wszystko może i wszystko w sobie pomieścić jednocześnie, skąd ta zuchwałość, aby jemu, nieubłaganemu Czasowi poważyć się opierać, śmieć się z nim stawać do walki!

Bo Ona nie rachuje się z nim, zuchwała.

Podczas, gdy najpiękniejszemu Ciału, On potężny i nieubłagany odbiera Młodość, Piękność i Życie i w proch je ściera, ziemią zasypuje, robakom daje na pastwę — jej jednej zgnieść nie może — nie zdoła jej wydrzeć młodości, siły i piękna, ująć nie może jej, ani w proch obrócić.

Tak być nie może — zwalczyć ją musi.

I wypowiedział Duszy straszną wojnę.

Poruszył wszelkie możliwe sposoby: próbował ukołysać ją ciszą i spokojem, by uśpić i snem zabić, próbował z ciałem w jedną zlać całość, dając jej zapomnienie o samej sobie, pragnął dać poznać, że wszystko, co ukochała — jest złudzeniem i powoli odebrać chciał wszystkie wiary, niszczyć nadzieje, a wsączyć jad zwątpienia i apatyi, prowadząc tak powoli drogą śmierci.

Ale Dusza żyła, żyła, żyła...

Aż wreszcie zrozumiawszy, jak ścisłym węzłem połączona jest Dusza z Sercem, Czas uderzył na to ostatnie.

A w sercu tem była jedna wielka miłość, która białemi skrzydłami objęła przez Życie wzniesioną mogiłę uczucia i płakała nad nią niewyschłemi nigdy, brylantowemi łzami. Czas uderzył w tę mogiłę swoją wielką, ciężką dłonią. Ale mogiła się nie rozprysła, bo była usypana z granitowego żwiru, ze skamieniałych z bólu łez.

Rozwścieczony, ale zawsze miarowy i zimny, choć niestrudzony w ruchu, nie zniechęcił się, nie opuścił rąk, nie ustał w swej pracy niszczącej.

Powoli, długo, długo, nieznacznie, a ciągle rył mogiłę od dołu, a białego Anioła miłości, strudzonego czuwaniem, uśpić chciał. Długie lata tak niszczył usypaną mogiłę, aż wreszcie żmudnym i długim trudem zrównał ją z ziemią, z której powstała.

A biały Anioł gdzieś w świat odleciał daleki.

I wtedy Czas z radością i tryumfem spojrzał na swoje dzieło.

Dusza nie miała już serca, bo sercem była ta mogiła, którą starł On teraz na zawsze.

Co pocznie Ona teraz, czy żyć będzie jeszcze, czy też wreszcie, wreszcie ulegnie jemu, potężnemu mocarzowi, któremu się nie oparła Młodość, Piękność i Miłość, przed którym nie ostoi się nic, co żyje.

I spojrzał na tę, której wydarł wszystko, co umiłowała, w co wierzyła, co pragnęła i co posiadała.

A ona żyła...

— Czemu żyjesz, nieszczęsna, gdy zda się wszystkie pierwiastki Życia Ci zagarnąłem — zawołał Czas do duszy.

— Czem jesteś ty, której zwyciężyć nie mogę!?

Stargana, cierpiąca Dusza wypromieniła z siebie jasną, świecącą wiecznie, dla świata niedostrzegalną aureolę nieśmiertelności.

— Żyję jej tchnieniem, które jest boską prawdą a jam tej prawdy niezwyciężonej cząstką żywą na wieki.

I dumny, potężny Czas opuścił dłonie, któremi niszczył i tworzył, a złudne jego istnienie rozpłynęło się w bezbrzeżnych, nieogarnionych falach Wieczności.

Listopad 1900.

KSIĄŻKI.

Pereświt. „W długą noc“. Lwów 1902.

Zachód krwawy słońca w świętym gaju dębowym. Z za drzew ukazują się bogi i boginie — Dziedzila, Łada, Dadźbor, Kupało — błędne, tęskniące, strwożone porzucają rodzinną ziemię i ten gaj święty, gdzie przez tyle wieków w błogiej ciszy snu spoczywały. Zapowiadają się rzeczy niezwykłe, straszne, które grozą ich przejmują. Nadchodzi oślepły Światowid, o jednej tylko twarzy; obstępują go struchlałe bogi, a on opowiada; widział rzeczy straszne i być nie mogące: las bez korzeni, zwalony, wyciąga ręce, trzęsie się, krzyczy, wyje w boleści i — gnije! Widział lud z sercami wydartemi; ociekają krwią wydarte serca, drgają, rzężą — pierś pusta, bez serca tętnić chce... Przerażony ohydą tego widoku oślepł bóg i zbył swoich boskich twarzy, ucieka — uciekają za nim inni — cały korowód starych bogów — dla których matka ziemia i ogień, i wody przestały rodzić, żywić, istnieć...

Po odejściu bogów napływa zewsząd tłum ludzi. W rozpaczy, niepewni co czynić, miotają się na wszystkie strony. Dusi ich powietrze, na twarze występują ohydne piętna, plamy czerwone. Zaraza! Niepodobna zmyć plam, nie pomaga woda z świętego źródła, ani cudowne zioła, przez dziewczęta uzbierane. Popłoch wzrasta, niepokój dochodzi najwyższych granic. Wśród pospolitego tłumu wyróżnia się gromadka inteligencyi, przedstawicieli rozmaitych idei. Ci także niepewni i strwożeni szukają zewsząd środków ratunku. Bogumił wskazuje go w Sakramencie, w pokucie, w Bogu, Ludomir poucza, że ojczyzna jest przestarzałą ideą, trzeba się wyrzec bolesnej starej miłości dla innej większej, powszechnej. Młody rzeźbiarz Bojanicz nie widzi jeszcze ratunku, boleje, dławi się brakiem tchu. Zjawia się para kochanków,

Ewa i Szczęsny. Ewa jest pełna goryczy przeciw idei ojczyzny, która jej serce ukochanego w jeden ból krwawy obraca i nie daje zawładnąć niem bezpodzielnie. Szuka właściwej nazwy dla tej dziwnej idei — nie krew to, nie gorycz, nie zwycięstwo i nie przegrana; imię jej chyba przekleństwo!

W chwili najwyższego niepokoju ukazuje się stara czarownica; zna lek na ból, na rany, na krwawe piętna. Lud tłumnie zbiega się ku niej. Wiedźma czyni zaklęcia; każe umyć twarz przy studni i wymawiać słowa wyrzeczenia się; wówczas wszystko z pamięci wytartem zostanie. Lud ciśnie się do wody, wyrzeka się pamięci. Inteligencya rwie się ku zapomnieniu na równi z tłumem. Czary pomogły; z obmytych niepamięcią twarzy giną czerwone plamy wstydu. Nie giną, a usuwają się w głąb serca — zapomniane.

I oto po takim wstępie, bo akt pierwszy właściwie jest prologiem, snuje się dalej opowieść o ludzie, który zbył się imienia i przeszłości ojczyzny. W scenach i aktach, które naprzód żadną akcyą nie są ze sobą połączone, uwydatnia się obraz ciężkiego trudu ducha, który walczy w niepewności i trwodze coraz rozpaczniej, coraz beznadziejniej i przytłoczony z góry brzemieniem ciężkiego smutku, walczy przeciw jakiejś marze, która ciągle jest obecna, a której nawet nazwać nie umie, tem mniej odnaleźć, ani zrozumieć. Każdy z tych ludzi wyższego ducha nosi w sobie ranę, jakiś fałsz nieodgadnięty, który przy najczystszych nawet i najwznioślejszych porywach ukazuje w głębi wszystkiego swoją twarz grzechu.

Typy poszczególne wyraźnie i żywo są kreślone. Ks. Bogumił ze wzrokiem zawsze w niebo zwróconym sili się w zagadnieniach wiary znaleźć spokój i prawdę dla zwątpiałej braci. Lecz sam w największej z sobą jest rozterce, sam niespokojny i wątpiący. Jednym z najpiękniejszych ustępów dramatu jest monolog tego młodego księdza, który napróżno w krwawym trudzie ducha, w modlitwie i nocnej męce stara się promień Prawdy dla ludzi uzyskać. Już mu się zdaje, że nie powiedzie braci ku wiekuistej ojczyźnie, bo ziemskiej swojej ojczyzny zapomnieć i wyprzeć się nie zdoła. A kiedy wreszcie zwyciężył siebie i obwieszcza ludowi, że jedynym ratunkiem jest zaprzanie się wszystkiego co ziemskie, a zlanie się z Bóstwem, nagle objawiającą się Prawdą zostaje zmiażdżony. — Szczęsny jest uosobieniem głuchego, ciężkiego smutku, złamania wewnętrznego raz na zawsze. Nie ratuje go nawet miłość Ewy, która rozszalała rozpaczą, walczy z tem imieniem „upiornej“, które ją, żywą z objęć ukochanego wytrąca; dusza kochanka na wieki zatruta i odebrana, najpieściwszy głos miłości odbija się jak o stal, o ten ból wieczny, a cała namiętność podzielanego uczucia, roztapia się w wewnętrznej pustce jego ducha, pozbawionego idei ojczyzny. Ewa tej nieuchwytnej a zawsze zwycięskiej potęgi nienawidzi, przeklina ją — aby później samej giąć się w rozpaczy, szarpać się na świętość tak wielką — aż równą macierzyńskiej. „Ojczyzna większa jest niż miłość — ojczyzna jest Prawdą“.

Losy socyalisty Ludomira także są straszne. Fanatycznie oddany swej idei, wychowuje razem młodzież różnej narodowości. Kształci ją i kocha na równi z własnym synem. Lecz i syn uczuł żal do niego za tę ujmę w ojcowskiej miłości i tamci powzięli wstręt do chłopca niewiadomego miana i obcej im duszy. Autor dał tu silnie zarysowany a wzruszający obraz bezdomnej Polski, którą inne państwa prześladują, wyrzucają ze swego grona, kamienują, przeczuwając w niej zgoła odmienną ideę, niż ta, która ich byt utrzymuje.

Zawiedziony w swej wierze Ludomir popada w szaleństwo; w obłędzie goni ciągle przed sobą otchłań pełną krwi, chce ją przeskoczyć, lecz otchłań przed nim się usuwa, a z głębi jej krwawy głos woła: miej ojczyznę!

Najwyżej wysubtelniony duchem artysta Bojanicz czuje w bezładnem szamotaniu się cierpiących odruch jakiejś zamierzchłej chwili, jakiegoś wyrzekania się starych ran. Lecz wkrótce i sam porywa się do czynu. Usuwa ze swej drogi miłość i całą duszą oddaje się twórczości. Chce w pięknie otworzyć cierpiącym braciom palladium szczęścia i spokoju. Lecz w chwili najwyższej ekstazy twórczej, gdy zeszedł z głąb swego ducha, aby zeń wywieść na jaw ojczyste piękno w najczystszej i najświętszej szacie, uczuł nagle, że dotyka rany — nietylko rany, lecz fałszu! W życiu całem nie kłamał — a żył w kłamstwie! I ten fałsz jego życia i ta rana w głębi jego ducha nigdy już nie zgasną — nie zdolen jest tworzyć — rodzimej polskiej sztuki bez Polski dać nie może.

Tak wiedzie nas autor przez coraz nowe Golgoty tęskniących duchów, które niegdyś, w dalekiej przeszłości zaparły się krwią ociekłego imienia ojczyzny. Długa, głucha, ciężka noc wreszcie się kończy. Tłum zebrany na placu wyczekuje z pożądaniem nowego dnia; podnosi tęskniące twarze ku mającemu wzejść słońcu, wyciąga spragnione ręce. Jakoż dnieje — rozlewa się wielkie morze blasku, rzeźwiący powiew przebiegł po tłumie. Lecz dziwo! w jakiś niezwykły szkarłat ubiera się zorza, słońce wschodzi niby w krwawej kąpieli. Co to być może? „Zawiele tej czerwieni!“ Jakieś chmury tłoczą się, przewalają, krwią nalane, jakby w męce cierpiące. Gdzie one idą? Czem są? Przerażenie owłada tłumem, z tej czerwieni jakieś dziwne wstają widma; głos kobiecy woła: to rana! Spostrzegają wszyscy, że im po twarzach błąkać się poczynają niby odblaski tej łuny, niby piętna krwawe. Kędyś, dawno, w jawie czy w sumieniu, było jakieś wyrzeczenie się, jakaś przysięga straszna niepamięci — coś zdjąć z siebie chcieli, czegoś się zaprzeć... W rozpaczy lud targa się i wije, Gdzie Bóg? Bóg odgrodził się od ludu — tą raną! Dlaczego? Czy, że przyszli nie jak ludzie prości, do smutków i radości nawykli, lecz „jak przeraźliwe kłamstwa przeistoczone, acz bezwinnie, w kształt człowieka?“ Czy Pan chce okazać, że ludy, które zatraciły swą prawdę, wszędy, nawet na drogach Bożych znajdą „krzyczące zagmatwanie? Czy nakoniec wiecznemi słowy, jak piorunami twórczymi chce wyrzec Pan o tej wrodzonej, rodzącej prawdzie, że „jedynie — a inaczej nie będzie — przez tę Prawdę, przez Ojczyznę idący lud — do Boga przyjść — może“.

Taka jest osnowa najnowszej pracy Pereświta Nie jest to dramat, ani rozwijające akcyę dyalogi, ani nawet obraz działający; forma, w jaką autor ubrał swe myśli nie da się podciągnąć pod żadną ze znanych rubryk dzieł literackich. Żyjemy w czasach dowolnej formy, może poszukiwania nowej formy. Lecz z pewnością nie znajdzie się czytelnik, któryby zrobił zarzut autorowi, że taką właśnie wybrał formę. To, co chciał wypowiedzieć, to jedno słowo, rozbite na tyle pryzmatów, ile jest poszczególnych prądów naszej myśli — bolesnej lub chorej — najwłaściwiej wcielić się dało w te ponure obrazy nocne jakichś nieokreślonych bliżej środowisk zbiorowego życia, w te urywane zdania, niepokończone dyalogi, w te

postaci, przesuwające się przed oczyma czytelnika, nie działające, nieraz zbyt mało mówiące — a czujące. Wszystko tam jest nasiąkłe wielkiemi uczuciami. I nie może być inaczej, skoro zasadniczą ideą utworu nie akcya jest, a uczucie.

Wyrzeczenie się idei wolnego kraju sprowadza jego mieszkańców w labirynt powikłanych uczuć, nierozwiązanych zagadnień, zwątpienia, złamania, nawet w najprawowitszych potrzebach serca. Nie może być szczęścia ani miłości, bo utrata ojczyzny zbyt boli, aby dało się swobodnie napawać egoistycznem szczęściem; nie może być sztuki, jeśli artysta nie wstanie jest czerpać z treści własnego narodu; wszechogólne, ogarniające całą ludzkość idee łamią się o tę krzywdę jednego wydziedziczonego narodu — własnego narodu, — nie może być podniesienia uczuć religijnych, bo między Bóstwem a człowiekiem stanie zawsze ta męka ludzi, pozbawionych swych praw przyrodzonych do ojczystego progu. Tę ideę autor przeprowadza w każdej nieledwie strofie swego utworu. Chwilami wydaje się to nawet sztucznem, narzuconem, wyprowadzonym na scenę osobom, dodaje jednak utworowi dużo siły i zmusza czytelnika patrzeć na rzeczy i ludzi wyłącznie pod kątem widzenia samego autora. Wobec tak silnie zaakcentowanej idei przewodniej, motory działania, strona psychiczna poszczególnych typów i poszczególnych momentów, jakkolwiek nieraz świetnie przeprowadzona, uchodzą na plan drugi. Obok tej jednostronności umyślnej uderza w tych różnorodnych scenach wielkie bogactwo myśli. Jeśli uczucie wzrusza wszędzie żywem słowem, to z drugiej strony zastanawia myśl, wysnuta z bogatych głębi. Także koncepcya poszczególnych scen należy do nader szczęśliwej. Pierwszy akt mianowicie, ten pochód uciekających bogów z kraju ojczystego, gdzie wszystko ich zawiodło — i ziemia, niebo, i powietrze samo, gdzie „dzieją się rzeczy być nie mogące, a jednak są“ jest szczególnie piękny, a wstrząsający grozą rzeczy nadprzyrodzenie strasznych. W dalszym ciągu, w poszczególnych scenach spotykają się ustępy wprost uderzające pięknem. Duchy miłośne udają się autorowi przedewszystkiem. Tryskają gorącem, żywem uczuciem. Także zbiorowa scena znęcania się gromady nad jednem, słabem pachołęciem doskonale jest zarysowana; to samo da się powiedzieć o krótkiem wystąpieniu Ludomira, jako szaleńca. Wszystko to są rzeczy nacechowane prawdziwem pięknem, bijące świeżością i siłą. Ponad tem wszystkiem zaś rozpręża się ciągle atmosfera niepokoju, smutku bez wyjścia, niekiedy zgrozy; autor na chwilę nie uwalnia czytelnika z tego napięcia niespokojnych rzeczy, szarpiących się w sobie, rozpacznych, oczekujących przyjścia skądś, czegoś...

Mimo jednak stron dodatnich, tak wybitnych, całość utworu, jako taka, nie daje wrażenia skończonego w sobie piękna, jakby się tego spodziewać należało, sądząc ze scen poszczególnych. Zamyka się książkę z dziwnem poczuciem rzeczy pięknych i czegoś, co się w nich nie dokonało. Brak tu tego, co jest w dziełach nieodrodnego piekna, tej jednolitej siły w każdym momencie, tej wielkiej spójni Piękna, któraby je wydźwignęła na poziom rzeczy pierwszorzędnych. Jak dotąd, młodemu piśmiennictwu, nawet w utworach niepospolitego talentu, nie udaje się w tych urywkowych scenach poszczególnych, w tych odłamowych obrazach zasadniczej idei, lub zasadniczych idei, stworzyć rzeczy jednolicie wielkiej, wzniośle pięknej. Coś się w nich łamie, rozdrabia, rozcieńcza, gra w nich jakaś zgrzytająca dysharmonia rzeczy gruboreannych z nadzmysłowo subtelnemi — z tego chaosu pięknych scen, wspaniałych obrazów, niedomówionych słów, przeciągłych jęków, nie wyłania się wielka jedność rzeczy wysokich, nie widnieje twarz jednorodzonego bóstwa potężnego piękna. Kiedyś Słowacki tego próbował, i wielkiemu Słowackiemu to się udało — pomimo nawet licznych stron ujemnych rapsodu.

I w utworze Pereświta przykro dotyka to niedorośnięcie do miary, jaka się co chwila w dziełku jego zakreśla. Nawet wiersz, niejednokrotnie świeży i poetyczny — utwór wierszem jest pisany — nie ratuje dzieła z niemocy. Niekiedy przewlekłość lub powrotność pokilkakrotna stanowczo szkodzą całości i nużą czytelnika.

A jednak książka Pereświta nie przejdzie bez śladu. Już to samo, że mówiąc o niej nie stosuje się miary, jaką się mierzy mnóstwo młodzieńczych prób zawadniających nasze piśmiennictwo ostatniej doby, już ten sam drobny szczegół świadczy o stopniu talentu autora i wysokości samej rzeczy. Lecz przedewszystkiem przeważa fakt, że Pereświt mówi nam o tych rzeczach, które nas bolą najgłębiej i najboleśniej, że umie trafić do tych głębi i zdołał „zatargać i poruszyć“. Daje to wyłączne i właściwe znamię „Długiej nocy“, która przez każdego polskiego czytelnika z odczuciem czytaną będzie.

W. DAL.

PISMA.

(*mb.*) Krytyka, zeszyt sierpniowy 1902. Na czele zeszytu mamy artykuł p. n. „Rzecz o demokracyi narodowej“ pióra p. Feldmanna. Dotychczas sądziliśmy, że feljetonowość w polityce uprawia u nas tylko p. Tarnowski, obecnie przekonywamy się, że czyni to i p. Feldmann, równy tamtemu doktrynerstwem, powierzchownością i złą wiarą swoich sądów, niższy tylko talentem pisarskim. P. Chmielowski umieszcza w „Krytyce“ sprawozdania z książki p. Feldmanna o piśmiennictwie polskiem, a A. N. Nowaczyński dalszy ciąg swej „satyry literackiej“ p. n. „Et unum exemplum docet“. Wiele w tej satyrze, zwitku kart luźnych, ustępów, które mogły bez szkody pozostać w tece autora. Niektóre aforyzmy są wyborne jak n. p. ten: „Wierzcie mi, lub nie wierzcie, to fakt jednak, że wielu z współczesnych poetów panteistycznie uwielbiających naturę, zna śpiew swych kolegów, słowików i skowronków, tylko z imitacyi klownów cyrkowych dobrych“,

---

(*kw*). Przegląd polski. Kraków. W zeszycie sierpniowym znajdujemy między innemi początek poematu dramatycznego w 4 aktach Macieja Szukiewicza p. t.: „Arf“, oraz dalszy ciąg większego studyum dra Stanisława Grabskiego p. n.: „Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831“. Rozdział, umieszczony w omawianym zeszycie zawiera charakterystykę poglądów Kołłątaja.

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego.